

Tadeusz Boy-Żeleński: Brzydka książka

Irzykowski szczerze nienawidzi literatury francuskiej i jej spolszczonych przeze mnie pisarzy. Cała dusza tego galicyjskiego, drobnomieszczańskiego inteligenta z końca XIX w., wychowanego na niemieckiej książce, nie widzącego świata poza niemiecką mądrością, z której wziął głównie pedantyzm, najeża się niechętnie przeciw tej mojej pracy – odpowiada Karolowi Irzykowskiemu Tadeusz Boy-Żeleński.

Na wstępie muszę przeprosić czytelników, jeżeli ton tych rozważań będzie odbiegał cokolwiek od tonu, którego pragnąć by należało w dyskusjach literackich. Ale i książka, która jest ich tematem, jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym w najgorszym znaczeniu. Bronilem się sam przed sobą od tego zadania; długo nie brałem do rąk tej książki, której próbkę dawały mi fragmenty drukowane w pismach, a która budziła we mnie wstręt i smutek. Wreszcie przemogłem się i przeczytałem. Dalszy ciąg, a zwłaszcza zakończenie artykułu wyjaśnią, czemu uważałem za potrzebne napisać o tej książce.

«Zazdrość i zawiść» – natchnieniem

Beniaminek p. Irzykowskiego jest dziełem chorobliwej nienawiści, która zaczęła się normalną literacką – jednostronną zresztą – niechęcią; stopniowo, drażniona może moją obojętnością na zaczepki,

rosła, doszła do obsesji, aż wreszcie, zachęcona poklaskiem tych, którym nienawiść ta była na rękę, wyładowała się w tomie liczącym blisko dwieście stron druku. Cel, a raczej pobożny zamiar? – krótko i węzłowato: unicestwić mnie jako pisarza, zohydzić jako człowieka.

Książka ta – jeżeli wierzyć samemu p. Irzykowskiemu – powstała z niskich pobudek: zazdrości i zawiści. Oświadcza on (str. 9), że woli sam to powiedzieć – i to przyznanie się swoje uważa za „sprytne” – aby wytrącić oręż z ręki tym, dla których motywy te zanadto byłyby wyraźne; uważa zresztą zazdrość i zawiść w takim wypadku za uczucia „godziwe i uzasadnione”.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Toteż książka ta jest paszkwilem i chce nim być. Posługuje się w tym celu wszystkimi „godziwymi” i niestety, jeszcze częściej niegodziwymi środkami. Urąga istocie krytyki, czyniąc sobie zasadę z niezrozumienia lub złego rozumienia. Myśl moją i słowa rozrywa na poszczególne zdania lub nawet części zdań, z których układa dowolną mozaikę, śliną i żółcią zarabiając cement perfidnej dialektyki.

Kiedyż więc mam się odezwać, jeśli nie wtedy, gdy widzę, że ktoś – z takim nakładem pracy, tak drobiazgowo (a zawsze źle) udokumentowany – fałszuje mój obraz? Nikt mnie w tym nie zastąpi – och, raczej przeciwnie! Nie chodzi o dyskutowanie sądów o mnie - to nie jest moja rzecz – ale któż, zdawałoby się, lepiej ode mnie może

wskazać wszystkie fałszy, finty, podłóstki? Toteż czytałem tę książkę, jak zamierzałem, z ołówkiem w ręku. Ale w miarę jak czytałem, ogarniało mnie zniechęcenie. Łże się w dwóch słowach, na sprostowanie trzeba stu wierszy – któryż czytelnik by to wytrzymał! Dlatego mogę tutaj dać zaledwie kilka przykładów pomysłowości, z jaką p. Irzykowski przeinacza prawdę; po samą prawdę o mnie muszę odesłać czytelników *Beniaminka* do moich książek. Wówczas ktoś nieuprzedzony zdumieje się może, widząc, jak wygląda dana rzecz w istocie, a jak ją „sumienny” krytyk, ożywiony „godziwymi uczuciami”, nienawiści i zawiści, może spreparować.

Sumienny krytyk

Bo p. Irzykowski uchodzi jeszcze u wielu osób, na prowincji zwłaszcza, za sumiennego krytyka. Nie żartuje nigdy, gęsto cytuje grube książki, jest drobiazgowy, co ludzie dość często myślą z rzetelnością. Sam przy tym stara się o podtrzymanie tej reputacji. Pewnego razu na przykład trafiłem w którymś z pism na następujące słowa p. Irzykowskiego, spowodowane drobną jego omyłką co do tytułu jakiegoś utworu Żeromskiego i co do nazwiska bohatera. „Chętnie to prostuję – pisał p. Irzykowski – nie mam dzieł Żeromskiego w domu i nie miałem czasu pytać znawców ani pójść do biblioteki.”

Przyznaje się do omyłki! Chętnie prostuje! Poszedłby do biblioteki dla takiego drobiazgu, gdyby miał czas! Czy to nie jest wzór sumiennego krytyka?

Przypadkowo niemal równocześnie pojawił się artykuł p. Irzykowskiego, informujący o najnowszej literaturze polskiej, a przeznaczony do niemieckiego czasopisma. W artykule tym przeczytałem o sobie, że przetłumaczyłem około dwustu tomów arcydzieł literatury francuskiej; po czym p. Irzykowski dodaje, jako jedyną informację o mnie: „Jako twórca samodzielny wystąpił tylko raz, przed dwudziestu pięciu laty, kiedy napisał kilkanaście frywolnych piosenek kabaretowych.”

Ano cóż, pomyślałem, pewnie znów nie miał czasu pójść do biblioteki ani spytać znawców; ujął mi ze dwadzieścia pięć moich własnych książek, ale za to sto tomów przekładów dodał. Rzetelny człowiek.

Ten przykład – to jakby motto. Przejdźmy do *Beniaminka*.

Podśluchy od kuchni

Przeglądając po raz pierwszy tę osobliwą książkę trafiłem w niej (str. 60) na taki ustęp. Cytuję go w całości, mimo że jest przydługi, ale mieści się w nim w zdrobnieniu cała tzw. z przeproszeniem mentalność czy mendalność p. Irzykowskiego.

„Boy, który w *Słówkach* wykpił instytucję jubileuszu, sam obchodzi jubileusz tychże *Słówek*. Przyszła kryśka na Matyska. I Matysek zapragnął też raz uczestniczyć w komunii jubileuszowej i postanowił się «załgać» metodą Tartufa, który, przyłapany na gorącym uczynku, usprawiedliwiał się: «Są chwile w życiu ludzkim...» Otóż Boy z

jubileuszową łezką w oku powiedział wówczas, że każdy obrzęd ma - niby sakrament - swoją mistykę... zmusza do milczenia sceptyka... i jedynie bardzo powierzchowny umysł mógłby czerpać temat do łatwej ironii w tym, że się o kimś czasem mówi po cichu «stary ramol», a głośno czcigodny jubilate. W tym nie ma obłudy (!)... w tym nie ma sprzeczności. Są to niejako dwie prawdy, każda w innym wymiarze... «Jeślim kiedy żartowałem z jubileuszów, czyniłem to jak człowiek, który nie pojął jeszcze całego sensu życia.» Nieprawda, objaśnia p. Irzykowski, nie dopiero teraz pojął; już wówczas, w epoce *Słówek*, wiedział o tej drugiej stronie medalu, bo to nie było trudne; tylko nie może się zorientować w zjawisku, dlatego mówi o dwóch prawdach i wybiera tę, jaka jest dla niego w danej chwili praktyczniejsza.”

Wstyd cytować takie brednie... A teraz – stan faktyczny. Ów inkryminowany jubileusz *Słówek* wyraził się w następującej karcie tytułowej: „Boy, *Słówka*, wydanie jubileuszowe, przedmową i komentarzem opatrzył dr Tadeusz Żeleński”; komentarz zaś był parodią stylu „przypisów” w uczonych wydaniach krytycznych. Tak oto sprzeniewierzyłem się (wedle p. Irzykowskiego) samemu sobie „obchodząc jubileusz” *Słówek*.

Co zaś do owej drugiej „komunii jubileuszowej”, było tak. Po moim powrocie z Francji przed kilku laty PEN-Club warszawski urządził dla mnie koleżeńską kolację w szerszym nieco gronie; było tam sporo przemówień, przeważnie jowialnych, na które ja replikowałem ową cytowaną powyżej „pochwałą jubileuszu”, utrzymaną od początku do końca w tonie żartu i przyjmowaną salwami śmiechu. Toast mój wraz z oracją Lechonia wydrukowało nazajutrz jedno z pism i tam wyszperał go p. Irzykowski (co za pracowitość, co za sumienność!), który jak się okazuje, wziął go od a do zet poważnie...

Jak rzekłem, w tej śmiesznej przyczepce jest w skrócie cały ów żaloszny paszkwil, jego intencje, jego lotność i metody. Tak jak tę mówkę kolacyjną, tak samo obrabia p. Irzykowski pracowicie moich trzydzieści książek, obciążając każdy mój żart, każdą myśl pudem własnego głupstwa. Bo nienawiść, która czasem podobno ma dar wyostrzania wzroku, u p. Irzykowskiego poraża najoczywiściej władze myślenia.

Nie zachodzi obawa...

I po tym wszystkim najspokojniej powiada p. Irzykowski (str. 16), że „chyba nie zachodzi obawa, żeby Boy został w czymkolwiek niedoceniony, żeby ktokolwiek czegokolwiek w jego pismach nie zrozumiał...” Niestety, okaże się, że zachodzi ta obawa i że może zdarzyć się człowiek, który ze mnie nie rozumie nic, absolutnie nic. Człowiekiem tym jest p. Irzykowski - i właśnie los zrządził, że on napisał o mnie książkę. To tak, jakby się podjął recenzji z autora piszącego po chińsku, bo okazuje się, że ja piszę dla niego po chińsku. Nie rozumie nic z tej mieszanki żartu i przekonania, konsekwencji i kaprysu, będących istotą mego sposobu pisania; a ponieważ nie rozumiejąc czuje się wciąż niepewny, ten styl drażni go; wciąż boi się być wystrychnięty na dudka.

To samo, co powiedziałem o stylu, odnosi się do charakteru. Pan Irzykowski nie rozumie ze mnie nic; usposobienie człowieka, który często mówi żartem, a myśli serio, „frywolnego”, a zdolnego do wytrwałości i entuzjazmu - wymyka się najzupełniej jego kryteriom.

Pan Irzykowski, ten niby to amator „skomplikowanej” psychologii, nie umie sobie z tym dać rady; upraszcza mnie też niemiłosiernie, oczywiście w sensie najgorszym, najtrywialniejszym.

I chwilami bierze mnie ochota wziąć p. Irzykowskiego w obronę przed nim samym. Może on się oczernia, może nie sama zawiść jest pobudką jego tępej zaciekłości; może nie mniejszą rolę odgrywa tutaj niezrozumienie?

Łatwo zgadnąć, czym być może owa książka, zrodzona z nieczystych pobudek, a pisana przez osobnika dotkniętego brakiem „muzykalności literackiej”, i to nie tylko w sferze żartu i humoru! Ten człowiek nigdy nie wyczuwa tonu. W muzyce nie jest możliwe, aby ktoś bez słuchu mógł się zajmować muzyką; w krytyce literackiej zdarza się to, niestety. Stąd interpretacja pana Irzykowskiego, jaką torturuje moje teksty, jest nieustannym fałszem – od sposobu cytowania aż do jego własnego komentarza.

[...]

Kapelusz i noga

O co się ten człowiek nie czepia! Znów z innej beczki (str. 12): „Czy Boy wywołał w Polsce szal zachwyty i zainteresowania dla Moliera i Balzaka? Gdzież tam – przede wszystkim dla siebie.”

Mój Boże! Wstrzyknąłem w publiczność, w czytelnie i w młodzież sam nie wiem już ile tomów Balzaka i Moliera, wywołałem setki artykułów o tych u nas zaniedbanych już pisarzach, spowodowałem z tysiąc przedstawień teatralnych – co właściwie mogłem więcej zrobić? Jak się miało to zainteresowanie jeszcze objawić? A dla siebie? Codziennie kubły pomyj w prasie i – książka p. Irzykowskiego.

Jeżeli chodzi o ocenę mojej działalności na różnych polach, p. Irzykowski przypomina mi stale człowieka, który bierze kapelusz, myśli, że to ma być but, przymierza go na nogę i powiada, że jest niedobry. Kiedy weźmie moje studium o śmiechu, którego celem było co najmniej tyleż śmiech obudzić, co śmiech zanalizować, traktuje je tak, jakby to było dzieło naukowe albo uczona rozprawa w jakim kwartalniku filozoficznym: a Lipps powiedział to, a Boy nie wytłumaczył tego, nie zacytował owego... I pakuje nogę w kapelusz i pcha, póki nie wygniecie dziury. Gdy ocenia moje studia z literatury francuskiej, kręci nosem na ich przejrzystość, kiedy przejrzystość była właśnie zamiarem tych przedmów do autorów, których publiczność dostawała do rąk przeważnie po raz pierwszy. „Nigdzie ani krzty rewizjonizmu” – krzywi się. Bo dla p. Irzykowskiego rewizjonizm to znaczy dłubanie w nosie. Ale mnie się zdaje, że trudno o większy rewizjonizm niż pokazać najszerszej publiczności, że Villon jest nam bliski, Rabelais genialnie mądry, Montaigne rozkoszny, Racine dyszący namiętnością, a wszyscy razem niezmiernie interesujący; sprawić, aby Polska z dnia na dzień rozpałała się do klasyków francuskich, chcieć zmienić postawę duchową jednego kraju w stosunku do drugiego. O taki właśnie „rewizjonizm” mi tutaj chodziło.

Co mu jest zbyt?

Ale bo też p. Irzykowski szczerze nienawidzi literatury francuskiej i jej spolszczonych przeze mnie pisarzy: tych moich „francuskich brązów ociekających spermą”, jak się wytwornie wyraża. Cała dusza tego galicyjskiego, drobnomieszczańskiego inteligenta z końca XIX w., wychowanego na niemieckiej książce, nie widzącego świata poza niemiecką mądrością, z której wziął głównie pedantyzm, najeża się niechętnie przeciw tej mojej pracy, którą najchętniej unicestwiłby, spalił, gdyby – potworna myśl! – został naszym Hitlerem. Dawniej zdobywał się na jakiś konwencjonalny ukłon, nawet mienił mnie „znakomitym tłumaczem”, zwykle co prawda wtedy, kiedy chciał mi coś ująć z innej strony. Ale teraz – odkąd został moim „rewizjonistą” – warto się przyjrzeć, jak on mówi o tej pracy tłumacza, którą uważa za jedyny mój pozytywny dobytek, a której poświęca aż – trzydzieści wierszy.

„Co najmniej połowa przekładów Boya jest zbyteczną” – orzeka. „Od Boya zaczął się zalew polskiego czytelnictwa obcą literaturą...” W języku przekładów pełno zbrodni: używam „aby” zamiast „żeby”, a „mimo że” zamiast „choć”. „Panu Borowemu – pisze p. Irzykowski – który o języku przekładów Boya napisał rozprawę, zwróć uwagę, że często najłatwiej jest tłumaczyć właśnie utwory wymagające bogatej synonimiki... natomiast czasem nie można sobie dać rady przy precyzyjnym oddaniu myśli oderwanych.” Jak gdyby p. Borowy w książce swojej („wzór akribii” – przygania mu uczenie p. Irzykowski to, że się w ogóle mną zajmował) nie zanalizował tak samo moich przekładów Woltera czy Monteskiusza i nie wykazał dowodnie, że równie dobrze dają sobie radę z „myślami oderwanymi”. To przykład, jak p. Irzykowski potrafi doskonale nierzetelność łączyć z drobiazgowością.

Ale ciekawy byłbym tej połowy (co najmniej) Francuzów, która jest dla p. Irzykowskiego zbyt dobra. Ostatecznie wszystko może być „zbyt dobre”; i bez góry Mont Blanc świat mógłby się obejść, ale sądzę, że dla krytyka mającego pretensje do wykształcenia, a odciętego od tych arcydzieł nieznaną języka, wszystko winno być raczej pożądane. Co p. Irzykowskiemu jest zbyt dobre: Musset czy Pascal, Rousseau czy Merimée – doprawdy, trudno mi zgadnąć.

Kiedy czytałem kwaśny i płaski ustępik, którym ten krytyk kwituje ćwierć wieku moich wysiłków i umiłowania – wysiłków mających na celu rozjaśnić nieco w głowie pp. Irzykowskiemu – znów przyszła mi refleksja na obronę p. Irzykowskiego. Może on się wciąż oczernia? Może nie sama zawiść, nie sama „zazdrość materialnych korzyści” – jak pisze (str. 9) – była źródłem tej jego nienawiści do mnie? Może podłożem jej była już organiczna antypatia do tej myśli francuskiej, od której szerzenia zacząłem karierę pisarską, a w której on widział groźne niebezpieczeństwo dla swego zaściankowego królowania z przyciężkim cytatem zamiast berła? Ale dajmy pokój temu rewizjonizmowi: którąkolwiek stroną będę obracał p. Irzykowskiego, nie sprawię, aby się stał apetyczny.

[...]

Kto jest beniaminkiem i czym?

Zestawiłem pobieżnie elementy, z których powstała ta brzydka książka, książka duchowego kaleki, pożałowania godnego człowieka, któremu wątroba służy do myślenia, a mózg do wydzielania nieczystości.

Beniaminek p. Irzykowskiego byłby sam w sobie rzeczą bez znaczenia, ciekawostką literacką, może materiałem dla lekarza psychoanalityka. Stworzyła rozgłos tej książki – koniunktura. Zjawiała się w pełni kampanii przeciw mnie. Toteż jeszcze nie wyszła, a już nasze ciemnogrodzkie pisma piałły jej przyszlą chwałę – z chwilą gdy się ukazała, towarzyszyły jej w tychże pismach hymny zachwytu. Cała książka przeciw znieawidzonemu Boyowi, i to książka „postępowego” pisarza! Rzecz znamienita, te same dzienniki, które, zwalczając mnie na wszelkie sposoby, robią ze mną porachunek za *Świadome macierzyństwo* i za wszystkie te poglądy, które p. Irzykowski podziela, powitały jego książkę jako sukces. To dowodzi wyraźnie, że oni gwizdzą na jego poglądy; potrzebna im jest jedynie jego nienawiść. Na usługi tego paszkwila oddał się cały aparat klerykalnych agencji prasowych. Ukoronował to sam p. Irzykowski, kwiaty swoich myśli na temat powstania *Beniaminka* – kokieteryjny autowywiad – składając w „Tęczy”, owej „Tęczy”, z której pouciekali co uczciwsi „zawodowi katolicy”, nie mogąc wytrzymać jej swoistej atmosfery. To była apoteoza: rozanielony Pedant w objęciach błogo uśmiechniętego Świętoszka. I p. Irzykowski twierdzi, że Molier się zestarzał!

Ale bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że *Beniaminek* znalazł oddźwięk wyłącznie w sferze socjalistyczno-endecko-klerykalnego sojuszu. Przeciwnie! Ta książka miała wcale obfitą i podejrzaną dobrą prasę we wszystkich obozach. Lepszą może prasę niż opinię. To jest zrozumiałe: kto spluwał, spluwał prywatnie; kto chwalił, chwalił w

druku. Recenzja z książki p. Irzykowskiego stała się dość wygodnym sposobem załatwiania porachunków ze mną. Tu i ówdzie ozwał się zwięzły głos nazywający tę książkę tym, czym jest („brzydkie głupstwo”), ale pojmuję wybornie, że kto ją tak skwalifikował, ten nie miał ochoty się w niej paprać. Za to byli tacy, którzy ku chwale tej ramoty, zdzieciniałej bezsilną złością, mówili o „zdrowym odruchu idealizmu”, o „pogłębieniu nurtu życia umysłowego”!!

Patrzałem na to wszystko w osłupieniu. Zupełnie niezależnie od mego osobistego zaangażowania w tej sprawie, stosunek ogółu krytyki do książki p. Irzykowskiego wydał mi się czymś niepokojącym. Jakim cudem mogło się stać, że nikt nie zauważył steku bzdurstw, fałszów i insynuacji, od których tam się roi; że nawet ci, którzy dyskutowali obszernie z p. Irzykowskim i „brali mnie w obronę”, udawali starannie, że ich nie dostrzegają? Taki daltonizm - dobrowolny czy mimowolny - nie przynosi pp. krytykom zaszczytu.

Jak się sublimuje zazdrość?

Cała ta „beniaminiada” odbywała się raczej w sferze zawodowoliterackiej, nie bardzo dochodząc do publiczności, która, mimo szalejącej reklamy, podobno nie „chwyciła”. Wierny swej roli mego pasożyta, p. Irzykowski dał książce opaskę: „Niezbędne dla czytelników Boya”: koncept naśladowany z opaski na dziełku Kartezjusza; tylko gdy tam miał służyć dla rozszerzenia świetlanej myśli filozofa, tutaj sączył ślinę potwarzy i nienawiści. Nie sądzę, aby opaska ta wiele książce pomogła. Co najwyżej mogła wyłudzić po parę złotych z nieświadomych, ale moich prawdziwych czytelników i okładka, i wnętrze mogły zdumieć jedynie czelnością fałszerstwa.

I kiedy p. Irzykowski przyznawszy się – „sprytnie”, jak sądzi – do swoich pobudek i wsunąwszy nie mniej „sprytnie” książkę w rękę temu i owemu, zapowiada na wstępie, że „w odpowiednim miejscu pokaże sztukę, jak się sublimuje zazdrość”, obawiam się, że któryś z czytelników odszepnie mu: „Jak, panie Irzykowski, to mniejsza, ale w co?... Wstyd powiedzieć w co... W plugastwo.”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego